№ 27. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 22 Czerwca (4) Lipca 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

W ŚNIE.

Dziś cię widziałam w marzenia obłoku:
Czarowny uśmiech z ust twoich wykwitał,
I zdało mi się, że z jakąś tęsknotą
Głos mię twój słodki po imieniu witał.

W oczu twych ciemnej tajemniczej głębi
Wschodziła znowu ta jutrzenka złota,
Której blask w rozświt zmieniał nocy cienie,
Zakwiecał różą cierń mego żywota.

Znów szczęścia tchnienie wionęło mi w duszę,
W niebo mi świat się przeistoczył cały,
Jak wówczas, kiedy twe usta z rubinów
Słowa przyjaźni zcicha mi szeptały.

Lecz przez firanek śnieżystych musliny
Kaskada blasków słonecznych wpłynęła,
O złota chwilo! — westchnęłam boleśnie —
Czemuś tak prędko minęła?...

M. Chluska.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Zanim miał czas usunąć palec z guzika i zanim ostry dźwięk elektrycznego dzwonka przebrzmiał, drzwi rozwarły się przed nim.

— Pani w domu? — zapytał ukazującego się w nich starego służącego.

— Pani? W tej chwili wyszła... Myślałem właśnie, że to pani wraca, że czego zapomniała.

— A!... — szepnął pan Konrad. — Spóźniłem się zatem...

I nie przestępując progu, począł szukać w pugilaresie swego biletu. Niech choć w ten sposób dowie się ta zacna pani, że tu był.

W tej chwili jednak w otwartych drzwiach od salonu ukazała się sylwetka Mani. I ona widocznie myślała, że matka wraca jeszcze po coś.

— Ach, to pan! — szepnęła zarumieniona. — Proszę! Niech pan pozwoli... Michale, proś pana — dodała, cofając się z progu.

Stary sługa odebrał od gościa laskę i pomógł mu do zdjęcia letniego paltota.

— Bo może wybrałem się nie w porę — przemówił pan Konrad, wchodząc do salonu.

Mania wyciągnęła doń rękę na powitanie.

— Ach, to nic! — rzekła równocześnie. — Mama czekała wprawdzie na pana, ale i teraz wróci niebawem. Poszła tylko tu, na drugie piętro, do sąsiadki, prawie nawet nie ubierając się wcale. Można jej natychmiast dać znać o pańskiem przybyciu...

I jakby chciała wydać odpowiednie polecenie Michałowi, który właśnie drzwi od salonu za gościem przymykał, zwróciła się żywo w tę stronę.

Ale pan Konrad w mgnieniu oka zagrodził jej drogę i nie dał dokończyć zaczętego frazesu.

— Broń Boże! — zawołał, dotknąwszy mimowoli przy tym geście paluszków dziewczęcia swą dłonią. — Nigdy na to nie pozwolę... Dość już mej winy, żem się nie stawił na czas oznaczony. Nie chciałbym jej powiększać trudzeniem pani i przerywaniem sąsiedzkiej wizyty.

Mania była mu wdzięczną za te słowa, szło jej bowiem o to, aby nie pomyślał, że ona boi się spojrzeć mu w oczy i zostać z nim samnasam.

Dla formy też już tylko odezwała się:

— Ach, to tak zażyłe stosunki, że możemy sobie na wszystko pozwalać. Ale istotnie, mama wróci za chwilę. Nigdy tam długo nie bawi. Niechże pan siada! Proszę! — dodała.

Widząc zaś, że on obejrzał się już za krzesłem i czeka tylko, aż ona miejsce zabierze, usiadła pierwsza na małej kozetce pod oknem, raz jeszcze uprzejmym gestem ponawiając swą poprzednią prośbę.

Usiedli trochę niezręcznie, gdyż zadaleko od siebie. Ona bowiem, tracąc naraz całą odwagę, wci-

snęła się w przeciwny róg kozetki, nie w ten, na którym pierwotnie usiąść zamierzała. Nadto zaś zauważyli niebawem, iż dzieli ich oboje strumień jaskrawego światła słonecznego, które, wdzierając się przez nawpół spuszczoną zasłonę u jednego z okien, nie pozwalało im widzieć wzajemnie swych twarzy.

Rozmowie jednak wcale to przeszkodzić nie mogło, owszem, w tych warunkach musiało ją tylko podsycić.

— Mama pani — odezwał się pierwszy pan Konrad, — jest dla mnie tak łaskawa, iż doprawdy nie wiem, czy kiedykolwiek choć przekonać ją zdołam, że umiałem ocenić jej dobroć. Bo o wdzięczności nawet już i marzyć nie mogę.

— Cóż znowu! Mama pojmuje to tylko, jako swój obowiązek!

— Ach! pani mówi tak przez grzeczność. Używa pani tego zdawkowego frazesu, gdy ja, doprawdy, wyjść z podziwu nie mogę!

— Nie ja! — zaprotestowało dziewczę z uśmiechem, — to mama tak powiedziała. Ja tylko powtarzam jej słowa.

— Ale to istoty rzeczy nie zmienia. Pozostanę wiecznie dłużnikiem i mamy i pani.

— Dziś, przeciwnie, jest pan naszym wierzycielem.

Pan Konrad żachnął się i poruszył na krześle z właściwym sobie w pewnych chwilach brakiem powściągliwości. Narazie jednak nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Po chwili dopiero począł mówić, że nie myślał wcale o owej schedzie. Co prawda, przychodzi to w porę, rozwiązuje mu ręce, umniejsza trudności i kłopotów. Skłamałby, udając, że mu na tym spadku nie zależy dziś wcale i że nie błogosławi pamięci nieboszczyka. A jednak to dziwne, bo ponad tem wszystkiem, ponad owym wypadkiem, który, dalibóg, jest dlań najzupełniejszą niespodzianką, góruje to jedno: „jaka ta pani Trzcińska dobra, jakie obie panie łaskawe!" Ta myśl nie chce go opuścić, nasuwając mu pytanie: czem sobie na to zasłużył?

— Widzi więc pani — kończył z chmurą na czole, — że to ja pozostanę na zawsze dłużnikiem mamy.

Nie było tym razem odpowiedzi. Tylko z kącika kozetki, na której spoczywała Mania, dało się słyszeć lekkie westchnienie.

Pan Konrad teraz dopiero spostrzegł, że struga światła zawędrowała już ku niemu, oświecając go jaskrawo i tem więcej tając przed nim siedzące w mroku dziewczę.

Mimowoli przysłonił czoło dłonią, jakby chciał po przez ów strumień przyjrzeć się młodej gosposi.

— Może roletę zapuścić? — odezwał się głosik Mani.

— Pani każe? — podchwycił pan Konrad, podbiegając żwawo ku oknu.

— Nie dla siebie .. dla pana...

Puścił sznurek rolety, który już trzymał w palcach.

— Siądę bliżej — rzekł. — Słońca nigdy wśród murów zawiele...

I ujmując krzesło, na którem siedział, przysunął je zręcznym ruchem ku kozetce.

Jaskrawa smuga światła przestała ich już dzielić. Teraz też dopiero mogli się lepiej widzieć, gdyż dotąd rozmawiali z sobą jakby z poza jakiejś zasłony.

Ale pierwsze spojrzenie, jakie teraz zamienili, zmieszało ich oboje, kładąc tamę swobodnej dotąd rozmowie.

Z niemałem zdziwieniem dostrzegł pan Konrad w oczach i twarzy Mani jakiś smutek, tak szczery, wielki i głęboki, że nie można go było żadną miarą przypisać zwykłemu zakłopotaniu. Tak czasem patrzyła biedna Józia, mimo wesołej niekiedy rozmowy, a to podobieństwo owych spojrzeń uderzyło młodego gościa. Ach, tylko że Józia miała zawsze dość powodów do smutku, podczas gdy to dziecko szczęścia?... Mimowoli też przebiegło mu przez myśl, czy jej czem nie uraził, i począł przypominać sobie swoje słowa. Nie, nie mógł jej niczem urazić, a jednak zdawało mu się niepodobnem, aby to ta sama panienka rozmawiała z nim przed chwilą, zpoza owego świetlistego strumienia.

Chciał też już odezwać się z tem swojem spostrzeżeniem, gdy w przedpokoju rozległ się znów dzwonek.

— Mama wraca — szepnęło dziewczę, podnosząc się z kozetki.

Pan Konrad wstał także.

— Jest! Więc przyszedł! — słychać było przez drzwi uradowany głos pani Kamillli.

Służący roztworzył drzwi do salonu i zamknął je znów zcicha za wchodzącą panią.

— Witam pana! — zawołała od progu pani Trzcińska. — Przepraszam, żem nie czekała!

— To ja tysiąckrotnie przepraszam, żem się spóźnił — wyszeptał pan Konrad, ściskając z szacunkiem podaną rękę.

— Nic nie szkodzi! Dobrze że pan przyszedł. Coś mię tknęło tam na górze, pożegnałam się więc i przybiegłam, będąc pewna, że pana tu już zastanę.

Mówiła to, zbliżając się ku środkowi salonu, i naraz wstąpiła w ów strumień niknącego już zresztą blasku.

— Maniutko! — zawołała, przysłaniając oczy.— Jakże mogłaś na to pozwolić!

I zbliżyła się ku nieszczęsnemu oknu, przy którem zresztą i teraz znalazł się znów pan Konrad.

— I to moja wina! — zawołał z uśmiechem. — Deliberowaliśmy właśnie nad tem, czy tę storę zapuścić. Ot, i moja uwaga przemogła. Uciekliśmy tu, w ten kącik, pozostawiając słońcu swobodne pole działania, którego się tak napierało.

Pani Kamilla uśmiechnęła się. Uradował ją swobodny, wesoły niemal ton, z jakim pan Konrad te słowa wymówił.

— Ach, ale i na to jest sposób! — mówiła, zbliżając się do sąsiedniego okna. — I ja cenię słońce, zwłaszcza pod jesień... Otóż tę storę się podciąga...

— Rozumiem! A tę opuszcza! — przerwał pan Konrad, który pozostał przy obwinionem oknie i wykonał jednocześnie to, o czem mówił.

— Naturalnie! — dokończyła w tymże samym tonie pani Kamilla, załatwiwszy się ze swoją storą. — Będziemy mieli teraz i słońce i mniej trochę blasku.

Zasiedli znów we troje, w tym samym narożniku obszernego salonu, około małego stoliczka przed kozetką, przyczem Mania zajęła poprzednie swe miejsce. Tylko teraz od gościa oddzielała ją matka.

Blady uśmiech wykwitł też niebawem na wargach dziewczęcia, kłócąc się jeszcze z poprzednim smutkiem. I jej podobała się widocznie swoboda pana Konrada. Wydawał jej się teraz innym, niż przy pierwszej wizycie, i innym był istotnie. Twarz miał ożywioną, a myślące oczy błyszczały jakimś ogniem niezwykłym.

— Muszę się panu pochwalić — przemówiła pierwsza pani Trzcińska, — że to ja przyśpieszyłam całe postępowanie spadkowe.

Pan Konrad nadmienił znów coś o swej wdzięczności, spoglądając przytem błagalnie na Manię, jakby chciał ją prosić o przebaczenie, iż musi powtarzać to, co ona już słyszała.

— Ach, to przecież naturalne! —przerwała pani Kamilla. — A wie pan — dodała, — znalazłam przypadkiem nawet potwierdzenie tego, o czem się dowiedziałam, dzięki swoim stosunkom. Oto nieboszczyk mój mąż prowadził przez lat kilka rodzaj pamiętnika. Może to zaszumna nazwa, niestety bowiem, znajduje się tam tylko suchy spis samych wydarzeń, lecz bądźcobądź jest tam zaznaczony i ten fakt, który nas obchodzi. Właśnie nagotowałam to sobie... Patrz pan!

I biorąc ze stołu gruby, zielono oprawny zeszyt, poczęła przewracać w nim drobno zapisane kartki.

— A może Maniutka już to panu pokazywała?— spytała, przerywając sobie tę czynność.

— Nie, mamusiu...

— A o czemżeście państwo mówili przez ten czas?

Naturalne to zapytanie zmieszało ich oboje. Pan Konrad spojrzał znów na Manię.

— Sprzeczka o wyrażenia... i... i o to nieszczęsne słońce... zajęła nam tyle czasu — szepnął, nie tracąc swobody, która dziś już stale towarzyszyła wszystkim jego słowom i poruszeniom.

Był tu już jak u siebie, co pani Kamilla z przyjemnością zauważyła.

— Więc tak — mówiła dalej, wracając do notatnika. — Ot, tu, pod datą 2-go Września... właśnie niedawno minęło dziewięć lat temu... O! proszę!

I poczęła cichym głosem, z pewną trudnością zpowodu niewyraźnego pisma, czytać:

„Wziąłem Ignasia D., dawnego kolegę, za rządcę naszego domu. Dobre człowieczysko, niegdyś talent w swoim rodzaju. Myślałem zawsze, że pójdzie wysoko, wykoleiły go jednak ostatnie zmiany, jak już wielu przed nim. Alem się na nim pod jednym względem nie zawiódł. Był zawsze oszczędnym i dziś wręczył mi do depozytu, niby tytułem kaucyi, trzy tysiące. Jestem pewny że to uczciwie, krwawą pracą zebrana oszczędność. Wierzy mi tak, że ledwiem go namówił, aby to obwarować należytym skryptem. Nie daj Boże zawieść jego zaufania! Wszystko swoje raczej stracę, a ta jego oszczędność przepaść nie może..."

— Tyle o tem!—dodała pani Kamilla, skończywszy czytanie i podając otwarty zeszyt panu Konradowi.

Salon zaległa uroczysta cisza. Ten głos z za grobu, o człowieku, który już także dziś w mogile spoczywał, wstrzymał wszystkim słowa na ustach. Mani zaświeciły nawet łzy w oczach, które starała się siłą powstrzymać.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WYCHOWANIE.

VI.

Wakacye.

Wakacye! W wyrazie tym ileż to radości i szczęścia się mieści, dla zamkniętego przez dziewięć miesięcy w murach szkolnych ucznia! Ileż to pragnień ten wyraz mu ziszcza!

Kto widział młodzież szkolną, gdy opuszcza progi klasy w dniu, w którym ją na wakacye puszczają, ten bezwątpienia widział prawdziwą radość, prawdziwe zadowolnienie. I nic dziwnego. Tam, przy domowem ognisku, tak jej dobrze, tak przytulnie było! Drzewa szumiały tak mile, strumyk, co płynął przez łąkę w głąb ciemnego lasu, tyle miał w sobie uroku, a tyle tajemniczości, pola, ogrody i słońce jasne tak były łaskawe, tak dobrze znane. Cieszą się więc, bo znowu tam wrócą, znowu pełen miłości wzrok rodziców ich ogarnie i smutki rozjaśni, zwątpienia rozproszy... A dwa miesiące, to przeciąg czasu tak wielki, tyle można i tyle przy dobrej woli zrobićby się dało!

Zacznijmy, choćby od tego, co już tylokrotnie powiedzianem było:

Dla zdrowia młodzieży wakacye przedewszystkiem są potrzebne. Przez te kilkanaście tygodni niech odpoczywa wśród dobroczynnej przyrody, niech używa powietrza, słońca promieni, orzeźwiającej wody krynicznej; niech czerpie siły, hartuje ciało na nowe trudy i mozoły wśród szkolnych murów.

Dziś jeszcze należałoby większy nacisk na te słowa położyć. Wszak dziś na wszystkie strony słyszymy:

— Zdrowie to szczęście! Siły fizyczne to podstawa, to grunt, na którym należy rozwijać siły ducha. Nie zapominając o rozwijaniu, o kształceniu ducha, nie zapominajmyż i nie lekceważmy ciała!...

Słusznie. Ćwiczenia gimnastyczne, spacery i dłuższe wycieczki piesze niech staną na pierwszym planie, niech pierwszą troską będzie wzmocnienie tyle ważnych sił fizycznych. Dziesięć miesięcy skolnych spędzonych nad książką, wśród zacieśnionych murów miejskich, upoważnia do tego. A więc kąpiel, gry gimnastyczne, świeże powietrze wśród łąk i lasów.

Ale czyniąc wycieczki, lub dłuższe spacery, troszcząc się o siły fizyczne, mieć też trzeba na uwadze i umysł młodzieży, który ani na sekundę bezczynnym nie jest i zawsze potrzebuje pewnego pokarmu. A o pokarm ten bardzo łatwo tam, gdzie, jak mówi poeta, „księga natury jest zawsze otwarta." Przyrodnicy doradzają, ażeby młodzież na spacerach i wycieczkach wśród gór i lasów, wśród pól i łąk zwracała uwagę na otaczającą ją naturę i dopełniała wiadomości książkowe własnemi spostrzeżeniami. Zbieranie zielników i minerałów, klasyfikowanie ich, zastanawianie się nad obyczajami ludu, nad jego mową, charakterem i przesądami, zapoznawanie się z pracą jednostek i ogółu wiejskiego, to niewyczerpane źródło do rozmów, spostrzeżeń i wzbogacania się umysłu młodocianego. Rolnik uprawiający rolę, leśnik zasiewający przyszłe drzewa, naznaczający poręby lub zakładający tak zwane szkółki leśne, toż to najzdrowszy pokarm dla umysłów, których zadaniem jest poznać praktyczną stronę życia. A owe tak za granicą powszechne, wspólne wycieczki w głąb kraju, owe notatki własnoręczne młodzieży o tem co widziała i jak jej się to przedstawiło, czyż nie mogłyby i u nas obszernie być zastosowane?

Młody umysł poznaje tym sposobem pracę ludzką w jej najrozmaitszych objawach, poznaje celowość tej pracy, jej konieczność, praca ta staje się dla jego umysłu zrozumiałą; widzi on, że jest podstawą i dźwignią wszystkiego co jest. A na ten punkt powinni wychowawcy jaknajczęściej dziś zwracać uwagę młodzieży, ten punkt powinien być celem pogawędek swobodnych wtedy, gdy umysł jej, wolny od nauki książkowej, zwróci się w stronę życia praktycznego.

Kto zna bliżej życie młodzieży szkolnej, kto wtajemniczał się w jej sposób myślenia, kto słyszał jej sądy o świecie otaczającym ją, ten zrozumie, że nieraz czy to przez nieuważnego, a zarozumiałego koleżkę, czy przez własne zboczenie z drogi prostej na ścieżki krzywe, wymaga ona dłuższej nad sobą obserwacyi pełnego miłości oka rodzicielskiego. Zrozumie też, że tylko matka lub ojciec mogą zajrzeć wgłąb serca i duszy młodej i wyczytać tam wszystko, wyczytać złe i dobre, a wyczytawszy, zrozumieć, co tam wczasie ich nieobecności zapisanem zostało. Nikt też skuteczniej, niż rodzice, do uczuć dziecka przemówić nie może. Oni to, jak biegli ogrodnicy, powinni chwasty rozpoznać i usunąć, ażeby to, co przez nich zasianem było, zniszczonem lub przygłuszonem nie zostało.

Macierzyńska szkoła, ta szkoła, która niezatarte wyciska piętna na duszy i umyśle dziecka, powinna teraz czuwać, powinna złe skłonności zacierać, to, co skrzywionem zostało, prostować. Jej to obowiązkiem przejrzeć dokładnie własne dzieło i nowej siły, nowej mocy mu dodać, rozszerzyć je i upiększyć.

Wakacye to odpoczynek, to przyjemne spędzenie chwil dłuższych po uciążliwej pracy, ale słusznie powiedział poeta-filozof:

— Pokażcie mi czem się kto bawi i w czem najwięcej przyjemności znajduje, a powiem wam, kim on jest.

Orzeczenie to winni wychowawcy mieć na pamięci. Lekceważone często zabawy dziecinne i młodzieży szkolnej pierwszorzędny niekiedy wpływ na charakter jej wywierają. Starsi więc o ile możności w zabawach tych udział brać winni, lub zwracać na nie uwagę. A nigdy do zabaw tyle wolnego czasu i tak sprzyjających okoliczności niema, jak przez te dwa miesiące letnie. Nasuwanie więc młodzieży takich, któreby wywierały dodatni wpływ na ich fizyczne i duchowe siły, powinno być pierwszem staraniem wychowawcy.

— Władziu! idź się pobaw — mówimy najczęściej do dziecka, aby się uwolnić od niego.

Naturalnie że Władzio rzuca swoje zajęcie i wybiega na dwór w wesołych podskokach. Tu czekają nań rówieśnicy i zabawa rozpoczyna się. Z początku bawią się w konie, ale, zadowolniwszy potrzebę ruchu, stają i naradzają się, co dalej robić.

Projektów zwykle bywa mnóstwo, ale żaden jakoś nie trafia do gustu.

— Wiecie co — mówi jeden z milusińskich, — ja wczoraj byłem na łące i widziałem takiego ogromnego węża...

— Czy syczał? — pyta inny.

— A jakże.

— To pójdźmy tam, może go jeszcze zobaczymy.

— A jeśli on się na nas rzuci?...

— Weźmiemy kije... No, pójdźmy!...

I milusińscy, podnieceni urokiem niezwykłej wyprawy, chwytają kije i biegną szukać przygód.

Otóż kto bliżej przyglądał się zabawom dzieci, pozostawionym samym sobie, ten ze smutkiem przyzna, że powyższy obrazek jest jednym z tysiąca, które jaskrawemi barwy malują niewłaściwość pozostawiania dzieci podczas zabaw bez oka wychowawcy. Złe instynkta wówczas biorą górę i wyrabiają sobie prawo obywatelstwa.

Do przyjemnych rozrywek umysłowych podczas wakacyj zaliczyć wypada i lekturę. Dwie, trzy godziny dziennie wspólnego czytania utworów miejscowych, niedenerwujących, utworów które nie mają na celu jedynie czczego zaciekawienia czytelnika, bądź-to zapomocą opisów krwawych bójek, skalpowania czaszek, kreślenia czarnych charakterów i t. p. sztuczek, obliczonych na naiwność młodych umysłów.

Sensacyjne owe powieści, podróże pełne nieprawdopodobnych przygód, wyrabiane na warsztatach zagranicznych, nader chętnie bywają przyswajane naszej literaturze dla wieku młodocianego i bynajmniej niezasłużenie zajmują miejsce, które im się nie należy.

Czasby więc było, aby wychowawcy pierwej dobrze się przyjrzeli, jaką strawę duchową dają młodemu pokoleniu, zanim ją podadzą.

Indyanie, Murzyni i ludożercy! oto bohaterowie powieści dla młodzieży. Ależ cywilizacya, stawianie podniosłych charakterów prędzejby to miejsce znaleźć powinny!

Wakacye... Obyż one jaknajwiększy pożytek na zdrowiu i umyśle młodzieży przyniosły!

Stefan Gębarski.

KRONIKA
działalności kobiecej.

Pomimo iż potrzebę spokojnej, rozumnie pojętej pracy niewieściej ogólnie już dziś uznano, znajduje się ona dotąd w najopłakańszych u nas warunkach. Wszystkie prawie kraje europejskie posiadają zorganizowane, jawne i jawnie działające stowarzyszenia kobiece. U nas tylko jednostka, pragnąca się poświęcić jakiemuś zawodowi, nigdzie nie znajduje pomocy, poparcia, rady wreszcie lub wskazówki. Nawet flegmatyczne, napozór wyłącznie kuchni i domowem zajęciom oddane córy Germanii zdobyły się oddawna na dwa związki kobiet, które, nie walcząc o żadne, gwałtowne reformy, starają się jednak, przez zjednoczenie interesów, wywalczyć szukającem pracy wszelkie ułatwienia, polepszyć byt ich i stanowisko. Samo „Allgemeiner, deutscher Frauenverein," założony w Lipsku, w 1865 roku, przez panią Ludwikę Otto-Peters, utrzymywał w tym roku **swoim kosztem** dziesięć studentek na uniwersytetach zagranicznych, przyczem złożyła znaczną sumę na rzecz kursów politechnicznych dla kobiet w Berlinie. Drugie stowarzyszenie, „Deutsche Frauenvereins Reform," powstałe w Weimarze, dzięki pani Kettler, odbywa walne zebrania we wszystkich większych miastach Niemiec, biorąc za główne swe zadanie ułatwienia dla kobiet w zakresie wykształcenia umysłowego i pracy zawodowej.

Takież same usiłowania odnajdujemy we wszystkich niemal krajach ucywilizowanych, z Francyą

na czele. Paryż bowiem, obok innych stowarzyszeń, posiada nawet związek międzynarodowy, „L'union universelle des femmes,” kierowany przez naszę rodaczkę. U nas tylko, prócz pojedynczych, w prywatnych kółkach zamkniętych usiłowań, nic a nic w danym kierunku się nie robi. A jednak sądzę, iż wobec narzekań na ciężkie czasy, należałoby właśnie w spójni interesów niewieścich szukać na złe ratunku. Dlatego też pomni, iż nie wszystko, co na obcym wzrosło gruncie, daje się do nas z pożytkiem przeszczepić, nie zasklepiajmy się wszakże w ciasnej skorupce, lecz spróbujmy sięgnąć okiem poza własne ściany.

Dziś, gdy nie wystarczają już kobietom naszym ręczne robótki, gdy trawić czas na równie bezpożytecznem zajęciu wolno nie ogółowi, lecz wyjątkom, godzi się nam, jak mniemam, wyjrzeć na obce niwy, by lepsze, wychowane na nich ziarna własnej przyswoić glebie. Dlatego też w następnych pogawędkach postaramy się zapoznać czytelniczki „Tygodnika” pokolei z wybitniejszejszemi stowarzyszeniami kobiet za granicą, z celem każdego z nich i środkami, jakiemi rozporządza. Może obudzi to u nas myśl spójni, która tysiącom rwących się do pracy, lecz poomacku błądzących kobiet ułatwiłaby ciężkie, życiowe zadanie, oszczędzając siły, tak często marnowane bezowocnie.

Dla tych zaś, którzy, nie zżywszy się jeszcze z obecnemi dążeniami kobiet, sądziliby iż hasło „Chleba i światła!” czyni z nich istoty nawskróś materyalizmem przesiąkłe i na pieniężne tylko liczące zyski, pozwalamy sobie przytoczyć tu szczegóły o kobietach szwedzkich, poczerpnięte z dzieła zmarłej niedawno profesorki uniwersytetu sztokholmskiego. Niechaj przykład ten stwierdzi zasadę, że do szlachetnego zaparcia się siebie dla szczytnej idei zdolnym jest tylko umysł o wyższym rozwoju i wykształceniu, że ukochać ludzkość i być pionierką jej ideałów może jedynie kobieta, sięgająca wiedzą i duchem ponad małostki życia codziennego.

Oto zgasła tej zimy słynna matematyczka, dr Zofia Kowalewska, opisując uniwersytety chłopskie w Szwecyi, zestawia nader ciekawe szczegóły nietylko o nauczaniu dorosłych wieśniaków i szkołach dla nich, lecz i o wewnętrznem życiu takich zakładów. Dowiadujemy się ztąd, iż każdy uniwersytet chłopski zamieniony jest w stały internat, w którym, obok świeckiego i niedotykającego religijnych wierzeń systemu nauki, całe moralne kierownictwo zgromadzonych tu chłopów spoczywa przeważnie na żonach rektorów. Kobiety te są istnym obrazem poświęcenia. Każda z nich, dla wpływu etycznego na nieokiełznane często, a pierwotne natury chłopów, prowadzi życie spartańskie, nieróżniące się niczem od egzystencyi prostych wieśniaków, a mające im za żywy przykład służyć. Pomijając już wspólne z pensyonarzami, jaknajprostsze pożywienie, żony rektorów muszą wieczory nawet poświęcać na śpiewy, czytanie i ciągłe uobyczajanie chłopów. Gdy do tego dodamy, iż na głowie ich spoczywa piecza i troska o materyalne potrzeby uczniów, to nie zadziwi nas, że według d-ra Kowalewskiej, każda nieledwie z pionierek tych poświęcenie swe śmiercią opłaca, kończąc po kilku latach na wycieńczenie sił, lub suchoty.

Pracują u podstaw, rzucając zaś ziarno na bujną, niewyczerpaną glebę, umierają spokojnie, bo z wiarą, iż wzmocniły fundament na którym pomyślność Szwecyi spoczywa.

Czy wobec tych kapłanek ukochanej idei możemy się dziwić, że nawet Syngalezi i Żydzi tunetańscy kształcą dziś swe kobiety?

Zaiste, nie! Z przyjemnością też czytamy w londyńskim „Journal of Education” szczegóły, dotyczące żeńskich szkół budystycznych na Cejlonie. Dowiadujemy się z nich, iż uwzględniając życzenia Syngalezów, którzy żądali oddawna osobnej szkoły dla swych córek, dającej im naukę, bez zacierania jednak narodowych i religijnych pierwiastków, pani Wecrakoon, jedna z gorliwych wyznawczyń budaizmu, założyła tamże stowarzyszenie kształcenia kobiet, liczące dziś już przeszło 800 członkiń. Związek ten utworzył wprzeciągu roku cztery wyższe zakłady edukacyjne, w Wellewatte, Candy, Gampola i Pandura, biorąc za dewizę swą: „Kształćmy dziewczę, by umiało być dobrą żoną i rozumną matką.”

Jak widzimy więc, nawet Syngalezi zrozumieli już, iż tylko oświecona kobieta może dzielnie spełniać swe obowiązki.

Niemniej ciekawe szczegóły opowiada „La Dépêche tunisienne,” o założeniu nowej szkoły dla Żydówek, w Tunisie, w dawnym pałacu Nessima. Dziękując Francyi za niesioną tu cywilizacyą, dziennik ten dowodzi, iż od czasu rzucenia promyka oświaty między Tunetanki, zmniejszyła się nędza, a podniósł poziom moralny oraz poczucie honoru wśród miejscowej ludności.

I bliżej nas powstaje zakład wychowawczy, więcej na uwagę zasługujący. Hr. Badeniowa, namiestnikowa Galicyi, wzywa — jak donosi o tem „Gazeta lwowska” — tamtejsze kobiety do składek, za które, ku uczczeniu zaślubin arcyksiężniczki Walery, założoną zostanie fundacya jej imienia. Fundacya ta, wzorowana na istniejących od 120 lat zakładach podobnych w Hernals i Oedenburgu, ma wychowywać według najnowszych wymagań sieroty po oficerach krajowcach, kształcąc je na wzorowe nauczycielki.

Instytut podobny, doskonale prowadzony, cieszyłby nas niezmiernie, gdyby nie panujące w zawodzie tym przeludnienie. Odkąd jednak tysiące kobiet, nie mając co z sobą robić, rzuciło się do pedagogii, praca na polu jej została obniżoną przez niepowołanych zarówno moralnie, jak materyalnie. Złe nietylko u nas istnieje. Stanowisko nauczycielki domowej w Anglii stokroć jest gorszem, bo upokarzającem, przy przewodniczeniu zaś szkołom i szkółkom z głodu umrzeć można.

Na dowód „Shoolmaster” powtarza za „Hampshire Chronicle” dwa ciekawe, jednocześnie pomieszczone ogłoszenia:

1) Poszukuje się nauczycielki do szkoły wiejskiej. Pensya: 16 funtów rocznie, mieszkanie i ogród. Mąż jej może znaleźć stałe zajęcie, jako wyrobnik. Zgłaszać się: 9 Pearson, Combe Vicarage. Hungersford.

2) Potrzeba kucharki do 2 osób. Płaca roczna: 30 do 40 fun. ster. Przyjmę również pomywaczkę, z wynagrodzeniem 22 fun. ster. Zgłaszać się, ect.

Wobec tego trudno się dziwić, iż święty ogień nauczania wygasa wśród Angielek, które rzucają się przeważnie do zawodów praktycznych. Ostatnia wystawa pracy kobiet w Westminster wykazała wysokie ich uzdolnienie w paru gałęziach przemysłu, zupełnie u nas zaniedbanych. Podziwiano tam na przykład zabawki dziecięce od najprostszych, do najwykwintniejszych. Delikatne te cacka zdają się być w rzeczy samej przeznaczone dla rąk niewieścich. Polecamy też wyrób ich uwadze pań naszych; a pole to, jak wiadomo, niewyczerpane, skoro wszystkie lepsze zabawki sprowadzamy dotąd z za granicy.

Niemniejszem powodzeniem cieszyły się rzeźby w drzewie, które my znów z Zakopanego, a co gorzej o wiele... z Czech głównie przywozić musimy. A jednak drobne, artystycznie wykonane podstawki, półeczki, wieszadła, lambrekiny, to rzeczy, które nie przechodzą sił kobiecych, a najchętniejszych znajdują nabywców!

Na punkcie pracy też o wiele pozostajemy za innemi krajami. Co zaś do stopnia zajmowanego w hierarchii naukowej i społecznej, dość wspomnieć iż kobieta, która przemówiła publicznie u nas na zebraniu Towarzystwa ogrodniczego, większą w Kuryerach wywołała sensacyą, niż za granicą zaliczenie miss Edith Peech do senatu uniwersyteckiego. Mylną również była wieść Kuryerów tych, iż kilka pań zaczęło pracować w biurze adresowem warszawskiem na prawach urzędników tegoż biura. Sprawdziwszy rzecz na miejscu, przekonaliśmy się, że ani jedna nie znajduje się tam kobieta.

A jednak zajęcie to najzupełniej dla nich stosowne. Stowarzyszenie więc, działające w imieniu wszystkich, zdołałoby może wyjednać dopuszczenie żywiołu niewieściego do powyższych urzędów.

Anatol Krzyżanowski.



O UBIORACH.

Paryż, 1 Lipca 1891 r.

Paryż wyludnia się z dniem każdym; kto może, ucieka od skwarów letnich, które po słotnej i zimnej wiośnie rozpoczęły się w drugiej połowie Czerwca. Jedni wyjeżdżają na wieś, inni na brzegi oceanu lub w góry na kuracyą wodną. I Warszawa zapewne rozpocznie wkrótce te letnie wędrówki, dlatego też w dzisiejszej korespondencyi zajmiemy się głównie opisem ubrań, przygotowanych na wyjazd, po wielkich magazynach tutejszych.

Moda upodobała sobie w ogólności kolory bardzo jasne: blado popielaty, blado piaskowy, blado lila. Z wyrobów letnich najmodniejszy wełniany krepon gładki, lub też w drobny rzucik tego jak tło koloru. Do strojniejszych należy tkanina wełniana *granité*, w drobne punkciki jedwabne, tworzące wypukły marmurek.

Wiele też noszą sukien z fularu mienionego, w ciągniony deseń jasny, tworzący niby węże, ztąd zowią go *foulard lumineux en serpents*. Na kostiumy używana bardzo letnia serża, zazwyczaj biała, zasiana w rzucik kolorowy.

Co do kroju sukien, przyjęte ogólnie spódniczki w bryty ścinane ukośnie (*en parasol*), ztąd szerokie udołu, zwężające się wmiarę, jak zachodzą do stanu. Na przedzie i pobokach przystają zupełnie do figury; wtyle cztery skupione fałdy wybiegają zpod pleców. U kostiumów rannych spódniczka sięga ziemi, u sukien powłóczy się na dwadzieścia mniej więcej centimetrów.

Staniki u sukien najczęściej przymarszczone do karczka pokrytego koronką, lub naszytego pasmanteryą z dżetem. Kostiumy, zamiast stanika, mają długi żakiecik otwarty zprzodu na jedwabnej szmizetce. Rękawy szerokie u ramienia, wązkie u ręki, ale bufy u nich nie tak wysoko podniesione wgórę jak w roku zeszłym, przez co nierównie kształtniej wyglądają.

Staniki przepasują ogólnie szarfą z wstążki *gros grin* lub atłasowej, średniej szerokości (nr 22). Szarfa ta dwa razy otacza stanik, krzyżuje się na przodzie, ztyłu zaś wiąże na długą kokardę; końce od niej spadają do dołu spódniczki.

Po tych ogólnych uwagach, przystąpmy do szczegółowego opisu pięknych sukien letnich, z pracowni panny Elizy Mery, przy ulicy St. Lazare Nr 77. Śliczne te suknie przygotowano właśnie do wód Royat w górach Owernii.

Najoryginalniejsza z nich muślinowa koloru blado rezedowego, zasiana w rzucik lila. Udołu idzie frendzla z cieniuchnego szpagatu w odcieniu niewarowym, szeroka na pół łokcia. Ta frendzla stanowi najpierwszą nowość dzisiejszą. Ukazały się również i koronki z cieniuchnych nitek szpagatowych i takiż tiul na rusze, klarowny, nakształt tiulu greckiego. Ładnie to wygląda, ale jak każda nowość, tak i ta ma przeciw sobie cenę wygórowaną. Rusze do sukien letnich zastępują tu greckim tiulem w szarym odcieniu, co niedrogo wypada, a wygląda nadzwyczaj świeżo.

Ale wróćmy do sukni rezedowej. Stanik u niej, długi z bawetem, zachodzi cokolwiek na biodra. Zpod bawetu wybiega frendzla, tworząc niby baskinę. Dopełnia ozdoby wielki kołnierz z koronki szpagatowej (*dentelle ficelle*), złożony z czterech długich zębów; dwa spadają naprzód, dwa na plecy. Ten kołnierz ogarnirowany dokoła zębów ruszką z odpowiedniego tiulu, takaż ruszka otacza szyję i zakończa rękaw.

Druga suknia z fularu mienionego w dwóch kolorach, popielatym i ceglasto różowym, w węże białe, a raczej śmietankowe. Spódnica gładka, u dołu wolant koronkowy, szeroki przeszło na ćwierć łokcia. Ta koronka w rodzaju dawnej gipiury weneckiej, ztąd zwana *point de Venise*, należy też do tegorocznych nowości. Stanik marszczony, wgórze otwarty, na wykroju ogarnirowany wolantem koronkowym. Szarfa z wstążki ceglasto różowej otacza dwa razy stanik i wiąże się wtyle na kokardę. Poniżej paska spada wolant koronkowy, tworzący baskinę. Rękawy szerokie u ręki, koronka płasko do góry odwinięta.

Trzecia suknia z kreponu jasno popielatego (*gris perle*). Spódnica płaska, udołu dwa wolanty, objęte wąziuchnym brzeżkiem koronkowym, złożonym z samych ząbków. Stanik przymarszczony do karczka, pokrytego wenecką koronką. Szarfa ze wstążki gros grin, biała, skrzyżowana zprzodu, wiąże się wtyle na długą kokardę, końce od niej spadają do ziemi.

Czwarty kostium z lekkiej serży białej w rzucik z drobnych lila kokardek. Spódniczka gładka, bez żadnego garnirunku. W miejsce stanika długa żakietka, otwarta zprzodu, na wykroju odwinięte wyłogi z białej materyi. Podspód idzie bluzka z fularu lila, długa tak jak żakietka, obciśnięta w stanie pasem białym jedwabnym, do tego pasa dosyć szerokiego przytwierdzona z obu stron żakietka dwoma guzikami z konchy perłowej. Rękawy z serży bufowane u ramion.

Inna suknia z takiejże białej serży w rzucik ponsowy, przeznaczona dla młodej panienki, ma stanik otwarty, na białej muślinowej szmizetce rękawy też białe bufowane, szarfa z ponsowej wstążki, dwa razy okręcona, wiąże się wtyle na kokardę. Dwie takież kokardki idą na ramionach, dwie inne u rękawów od strony ręki.

Uważaliśmy jeszcze suknię z czarnej grenadiny w drobne paski jedwabne, w kolorze błękitnym (*bleu éclair*). Spódnica krajana jak parasol, udołu wolant koronkowy szerokości ćwierć łokcia. Stanik gładki z bawetem; u szyi nagarnirowana szeroka koronka odwraca się z obu stron i pokrywa płasko przody stanika. Zpod bawetu wybiega takiż wolant. Rękawy wgórze bufowane kończą się u ręki wyłożonym płasko mankietem koronkowym. Dopełnia ubrania długa szarfa błękitna.

Koronka u tej sukni odznacza się nowością. Jestto tiul jedwabny, haftowany atłaskiem w maszynie.

Mnóstwa koronek białych i czarnych używają dziś do przybrania sukien. Czarne naszywają dżetem, a niekiedy i złotem. U wielu sukien przez cały przód spódnicy idzie szeroka wstawka koronkowa, dana ukośnie w odstępach. U innych wolant koronkowy spuszcza się zpod bawetu i tworzy mniej lub więcej szeroką baskinę. Stanik na wykroju garnirują wolantem koronkowym. Bardzo też modne długie płaszczyki koronkowe, w formie peleryny, ze spadającemi rękawami, ujęte w jedwabny karczek, zahaftowany dżetem.

Uważamy także po magazynach płaszczyki czarne jedwabne, długie do ziemi, w formie surducika, bez żadnego garnirunku. Rękawy u nich bufiaste wgórze, wązkie u ręki, zapinają się na rząd drobnych guzików. Niektóre mają mniejsze lub większe pelerynki i podniesiony kołnierz Medicis. Robią je z mory, z materyi *faille française*, lub też z fularu *surah*. Niektóre zwłaszcza fularowe powłóczą całe tiulem greckim. Płaszczyki te przygotowano do wód na ranną przechadzkę; na chłodne poranki widzimy długie żakietki sukienne w rozmaitych kolorach: czarnym, granatowym, wydrowym i jasno piaskowym. W formie ich wielka też rozmaitość: niektóre otwarte, na szmizetce jedwabnej, inne znów zapięte na guziki, albo na pletnie z pasmanteryi. W angielskim magazynie tutejszym *Old England* uważaliśmy wielki dobór długich żakietek z szewiotu i tkaniny szkockiej *homes pun*. Jedne zupełnie gładkie i wązkie, inne objęte pletnią jedwabną lub wązkim, złotym sznurkiem.

Rękawiczki duńskie przyjęto ogólnie; noszą je nawet do wielkiego ubrania, ale w jasnym odcieniu.

Co do obuwia, trzewiki ze skórki lakierowanej przemagają latem nad bucikami.

Pończoszki jedwabne mają zwykle kolor odpowiedni do sukni.

S. D.

ZAWIERUCHA.

PRZEZ

Marc-Mounier'a.

Przekład z francuzkiego

M. G.

(Dalszy ciąg.)

Pallone odszedł dramatycznym krokiem. Toniel usiadł na piasku w miejscu, gdzie Sebeto wpada do morza. Siedział jakiś czas osłupiały, a potem zapłakał. Gdy oprzytomniał na śpiew rybaków zaciągających sieci, port zaczynał się ożywiać, wybrzeże pokryte było pianą, strumień szemrał, wlewając swoje wody do fal rozkołysanych, Wezuwiusz świeży i jasny wyrzucał lekki dymek, różowawy w blasku jutrzenki. Toniel na ten widok doznał radosnego uczucia, lecz w tejże chwili przypomniał sobie wszystko i zawołał z rozpaczą:

— O Reginko! Reginko!

Pallone tymczasem pojechał do Salerno koleją, nie zapłaciwszy ani obola za miejsce w wagonie; z tak groźną miną spojrzał na konduktora pytającego o bilet, że ten miał chęć schować się pod ziemię. Na dworcu w sali pasażerskiej Pallone ściągnął tłómoczek jakiegoś Niemca, który odbywał poślubną podróż z żoną i, trzymając ją za ręce, wpatrywał się z zachwytem w jej oczy; Neapolitańczycy, nieprzywykli do takich manier, uważali go za magnetyzera. W chwili wyjazdu, sentymentalny wędrowiec spostrzegł kradzież i wpadł we wściekłość, chciał zatrzymać pociąg i groził naczelnikowi stacyi zemstą Niemiec. Pociąg ruszył bez niego, a Pallone otworzył podróżny worek; była w nim stara porcelanowa fajka, tomik poezyj, przewodnik Baedekera i kawałek kiełbasy. Tandeciarz, jadący tym samym wagonem, zakupił wszystko to za dwa liry.

Pallone, przybywszy do Salerno, odnalazł sklepik pani Placydy i przeszedł przed nim parę razy dla zbadania gruntu. Reginka podobała mu się tak dalece, że zgodził się na plan Angielki i przygotował się do występu. Na początek zaznajomił się z woźnicą parokonnej dorożki, którego olśnił świetnemi obietnicami, wzamian za co był obwożony darmo po mieście, w niedbałej postawie, z głową wtył przechyloną, z nogami opartemi na przedniej ławeczce. Po poobiedniej drzemce kazał się zawieść do sklepiku pani Placydy i zawołał na kupcową, ażeby mu podała hawańskie cygaro i paczkę tureckiego tytoniu. Były to rzeczy nieużywane w Salerno, o czem Pallone dobrze wiedział, mimo to udał wielkie zgorszenie i rozkazawszy otworzyć drzwiczki i spuścić stopień dorożki, wszedł do sklepiku z pogardliwą miną.

— Pokaż mi, pani — powiedział, — co tu jest w sklepie?

Jeden doucicilli podniósł się z siedzenia, ażeby się lepiej przyjrzeć nieznajomemu; Pallone zabrał bez ceremonii jego krzesło i zasiadł, wyciągając nogi, podczas gdy pani Placyda prezentowała mu swoje towary. Wybrał wreszcie cygaro czarne jak lukrecya i rzucił je na ziemię, zaciągnąwszy się dwa razy jego dymem, a potem podał Regince papierek dwulirowy, otrzymany za worek Niemca.

— Jakaż ona ładna, ta dziewczynka! — powiedział uprzejmie do pani Placydy.

— To tylko pańskie oczy — szepnęła Reginka jak nakazywała przyzwoitość w takim razie.

— Czy jesteś zakochana? — zapytał blagier.

Pytanie to jest mniej niewłaściwe w tym kraju, aniżeliby można sobie wyobrazić, jest ono tak naturalne, że każda Neapolitanka odpowie na nie z równą swobodą, jak każda kobieta innego kraju, gdy ją zagadną: „Czy pani tańczy?"

— Come no? (jakżeby nie?) — odrzekła Reginka z oburzeniem.

I dodała w duchu:

„Patrzcie go! jaki impertynent... Jak on śmie o tem wątpić, kiedy widzi moję twarz i wie że mam piętnaście lat!"

— I to zapewne w jednym z tych trzech kawalerów?—dodał Pallone spoglądając z ukosa na trzech elegantów, którzy coprędzej skierowali się ku drzwiom.

— Nie, panie, w żadnym z tych trzech! Wolałabym kochać się w trzech muchach.

Reginka zauważyła, że Pallone jest ładny chłopiec; kobiety mają zawsze sympatyą dla tych, których się boją.

Pallone zaczął codzień odwiedzać sklepik i w Salerno potrafił wynaleźć zajęcie i dochód dla siebie. Stojąc przed dworcem kolei w godzinach nadejścia pociągów, wywijał młynka kijem, co trzymało w oddaleniu całą gromadę uliczników, żebraków, ciceronów i tragarzy, rzucających się zwykle na przyjezdnych. Tylko protegowani przez Pallona mogli dostać się do drzwi dworca i zabierać worki, tłómoczki, parasole podróżnych, samych podróżnych nawet, niosąc ich do powozu, i jeżeli się dało, uwalniając ich od ciężaru portmonetki i zegarka. Protegowani opłacali się opiekunowi, dwóch właścicieli hotelów podejmowało go u siebie, dając darmo mieszkanie, jedzenie i od czasu do czasu pieniężną zapomogę, najwięcej jednak zarabiał od właścicieli dorożek. Dzięki tym drobnym dochodom, był wstanie obdarzyć panią Placydę i Reginkę różańcami z lawy, a potem zaczął się zdobywać na świetniejsze upominki, to pierścionek z prawdziwego

złota z fałszywym rubinem, to naszyjnik i grzebień z korali, to gwiazdki z perełek do kolczyków. Trzej eleganci nie pojawili się już, mała szkoda! Neapolitańczyk wart był więcej, codzień miał jakąś nową opowieść na ustach i jaką jeszcze! Wyzwania i walki, pojedynki na noże, zwycięztwa odniesione nad Piemontczykami, policyanci zmuszeni do poddania się, rekiny ułowione na wędkę, dziki uduszone gołemi rękami. Pallone lubił mówić o sobie jak Eneasz, a biedna dziewczyna ze sklepiku nie była silniejszą od Dydony, zresztą Toniel nie wracał, co ją zrazu bardzo zaniepokoiło, lecz uspokoiła się, dowiedziawszy się, że jest zdrów i że się boi... Zapewne było trochę żalu, trochę wyrzutów sumienia, trudno było nie przyznać, że Toniel miał głos piękniejszy i spojrzenie słodsze, ale czyż widok Toniela, jedno jego spojrzenie, zmusiło kiedy do odwrotu trzech douciccilli? Zresztą i pani Placyda była po stronie Neapolitańczyka, który wrazie napadu (obawiała się nieustannie napadów) potrafiłby obronić jej sklepik. Tego dnia, gdy dostała od niego perłowe gwiazdki do kolczyków, powiedziała Regince:

— Powinnaś go wziąć, wyższy o kilka cali od małego, który nigdy nie będzie umiał nakazać dla siebie uszanowania i z którym będziesz tylko klepała biedę.

Tak że w miesiąc później, gdy Toniel przyszedł na wskazane miejsce pod most Magdaleny, Pallone oznajmił mu łaskawie:

— Jestem z ciebie zadowolony i zwracam ci wolność. Możesz robić co zechcesz, nawet możesz wrócić do Salerno, jeśli ci się podoba; żenię się z Reginką.

Biedny chłopiec osłupiał, wspierając się na harfie, która go uchroniła od upadku. Poraz pierwszy w życiu pomyślał, że jest samotny na świecie i że nie ma nikogo, ktoby z nim podzielił troskę. Przyszło mu wreszcie na myśl pójść do don Kristofora. Zastał go wyciągniętego na tarasie i puszczającego w stronę morza obłoczki dymu, a przed nim miss Zawieruchę, machającą parasolem.

— A! Toniel! — zawołał proboszcz. — Siadaj, mój chłopcze, i zaśpiewaj.

Toniel spróbował śpiewać, lecz łkanie stłumiło mu głos. Angielka poskoczyła ku niemu, ksiądz rzucił cygaro na ziemię. Wtedy biedny chłopiec wybuchnął i odrzucając nabok wszelkie ostrożności, ośmielił się powiedzieć kto był Pallone i zdradzić wszystkie jego łotrowstwa i oszukaństwa.

Don Kristoforo nie zadziwił się tem wcale i zrobił sobie tę przyjemność, że powiedział żartobliwym tonem:

— Co to jednak znaczy umieć czytać!

Miss Zawierucha spuściła głowę, musiała przyznać, że jest zwyciężona, co jej jeszcze nigdy się nie zdarzyło; lecz była więcej zmartwiona, niż upokorzona, gotowa uczynić wszystko, byleby pocieszyć, Toniela. Wkońcu, zdając się na łaskę i niełaskę, powiedziała do don Kristofora:

— Pan tylko jeden możesz coś na to poradzić.

— Ach! otóż macie! — odrzekł ksiądz, przecinając się. — Ja mam robić wszystko! Niedość, że muszę odprawiać codzień mszę, nie dadzą mi nawet spokojnie odbyć poobiedniej drzemki i wyprawiają mnie codzień w podróż, mnie, który nigdy nie jeździłem! Wczoraj do rozbójników, żeby się z nimi układać... Dziś dla miłostki głupiego chłopca! Do stu piorunów, dajcie mi raz spokój! Radźcie sobie sami, jak możecie!

Ilekroć kto zażądał przysługi od don Kristofora, podnosiły się w nim dwa uczucia: chęć usłużenia ludziom i lenistwo. Czasami lenistwo budziło się pierwsze i wydawało okrzyk zdziwienia lub gniewu, lecz dobroć brała zaraz górę. Jednem słowem don Kristoforo nie odmawiał nigdy, lecz musiał najpierw wyłajać, a gdy już raz wymówił swoje: „do stu piorunów!" można było być pewnym wygranej. Toniel odgadł to i ucałował ręce księdza. Potem wziął harfę i zaśpiewał słodko najsłodszą ze swoich piosneczek.

Don Kristoforo miał noc niespokojną.

— Co robić — zapytywał sam siebie—co robić? Czy zawiadomić policyą o sprawkach Pallona? To droga najdłuższa i najprzykrzejsza. Trzebaby pisać skargę, rozmówić się z sędzią, stawać jako świadek w sądzie, szukać dowodów, których niema i świadków którzy będą zeznawali przeciwko mnie, a może jeszcze którego wieczora zostanę zasztyletowany na ulicy? Czy może rozmówić się z panem Pallone i przedstawić mu obraz piekła? Ach! rząd bardzo zawinił. Dawniej, na wszystkich rogach ulic były obrazy z czerwonemi płomieniami, z rogatymi dyabłami, zbrojnymi w widły, i z potępieńcami pieczonymi w ogniu; lud widział to wszystko i obawiał się. Dziś wyrzucono obrazy, lud ich nie widzi i nie boi się niczego. Z drugiej strony niepodobna wpłynąć na dziewczynę—kobiety są wszystkie jednakowe; wyślizgują ci się z rąk wtedy, gdy sądzisz, że je trzymasz. Na nic się nie zdało posłanie tej smarkaty na odpust. Co czynić, dobry Boże! co czynić? Daremna rzecz płynąć pod wodę, trzebaby stosować się do kierunku wiatru...

Don Kristoforo zasnął wkońcu i spał aż do obiadu. Nazajutrz pojechał do Salerno i zastał Pallona na dworcu, ale Pallone, który go nie znał, nie wystrzegał się wcale; zajmował się wyłącznie cudzoziemcami, których poznawał odrazu po gapiowatych minach. Proboszcz poszedł prosto do pani Placydy, którą zastał wyfiokowaną, obwieszoną klejnotami i zajętą tarciem na tarce kawałków cygar pozbieranych na ulicy, z których przyrządzała tytoń do fajki.

Zakłopotała się trochę na widok niespodziewanego gościa; Reginka zrobiła się czerwieńsza od swego koralowego naszyjnika, don Kristoforo uspokoił je obiedwie odrazu.

— Moja kumo — zaczął, — dowiedziałem się o wielkiej nowinie i przybyłem, ażeby się z wami radować. Reginka idzie zamąż...

— Jeszcze nie — odrzekła żywo dziewczyna.

— Jakto! jeszcze nie? Pallone opowiada wszystkim, że to rzecz skończona. Kiedyż wesele, moje dziecko?

— Przecież... Toniel...

— U niej zawsze Toniel w głowie...— westchnęła pani Placyda.

— Myślisz jeszcze o Tonielu?

— Biedny chłopiec!

— Nie tak bardzo biedny! Zachwyca wszystkich w Neapolu swoją harfą i zarabia ile chce. Miss Zawierucha namawia go, żeby jechał do Anglii, gdzie zrobi majątek, ale dyrektor teatru San-Carlo chce go zaangażować na pierwszego tenora i daje mu tysiące talarów.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z TYGODNIA

Warszawa jest bardzo miłą... wczasie pogody, kiedy nad jej ulicami wiszą snopy promieni, odbijające się łuną światła od murów i bruków, kiedy na chodnikach tłumno i rojno, w ogrodzie Saskim ciżba, a w alejach *cercle* z paruset powozów przewija się nieustającym wężem; wygląda to bardzo uroczo, okazale i... niezmiernie dostatnio. Panowie siedzą na siodłach, jak najbardziej wykwalifikowani trenerzy — panie spoczywają na poduszkach powozowych, jak zmęczone anioły, a dobór kształtów i barw zdaje się twierdzić głosem jednej, niezmąconej harmonii, że na ten strój tak wdzięczny i ponętny zużyło się potężną ilość *pracy społecznej...* conajmniej połowę czasu!

Co to jest *praca społeczna?*

Jest-to bardzo naukowy termin ekonomiczny, zagęszczony obecnie w książkach, broszurach, traktatach i artykułach. Oznacza on poprostu *pracę ludzką*, zużytą w sprawach wszelakiej wytwórczości. A *wytwórczość* zaś (znowu termin naukowy!) zawiera pojęcie tworzenia czegoś, lub przetwarzania przy pracy. Naszą tedy wytwórczością na przykład, naszą *pracą społeczną*, w odniesieniu do Warszawy, która teraz wygląda tak pięknie, jest urządzanie *cercle'ów*, dobór kształtów i kolorów, korzystanie z blasków słonecznych w krążeniu deptakowem po ogrodzie Saskim i alejach.

Ci, którzy tego nie robią, pracują społecznie w innym kierunku. Jedni, zapakowawszy do bocznych kieszeni swoje zasoby pieniężne, wymknęli się z ponętnej Warszawy do ponętniejszych *badów* i *hofów*—inni wysunęli się za furkami pełnemi gratów na mieszkania letnie, które już teraz dla śmiertelników najbardziej *przeciętnych* stały się obowiązującemi—a zaś jeszcze inni, którzy jednego i drugiego nie zrobili, żałują że tego zrobić nie mogli.

Bowiem niezawodną jest rzeczą, że niema tak bardzo upośledzonej duszy ludzkiej, któraby raz na rok nie poczuła odwiecznej konieczności puszczenia się na trawę. Dzieje się to za wolą tego naturalnego a wrodzonego instynktu, co szepce człowiekowi przy lada okazyi, że życie jego śród murów, kanalizacyi, wodociągów, tramwajów i t. p. jest bytowaniem anormalnem. Na otwartych, szerokich błoniach, w trawie po kostki i z potężnem, odsłoniętem sklepieniem niebios nad głową, śród szumu lasów i szmeru fal, wobec niecichnącego na chwilę hymnu przyrody, człowiek przestaje być karykaturą człowieczeństwa, jaką się stał, dzięki sztucznemu bytowaniu w mieście.

Co się tyczy bytu naturalnego, to jest, w odniesieniu do Warszawiaków, wszelakiego rodzaju willeldziatury, każe się on w roku bieżącym opłacać tak drogo, jak nigdy dotąd. W okolicach miasta do mieszkań letnich docisnąć się niepodobna, tak są drogie, a przytem licha warte. Spekulacya bowiem, stawiająca setki domów, domków, pałacyków, szaletów i t. p., nieraz najmniej tytułowanych bud, w których podczas deszczu kapie, podczas wiatru wieje, a podczas słońca pali i piecze — niszczy jednocześnie wegetacyą, wyplenia zieloność, otoczeniu daje wygląd sztucznie zabudowanej pustyni. A uzdolniwszy w taki sposób miejscowość na przytulisko odpoczynkowe dla naiwnych mieszczuchów

każe im płacić, och, płacić!... ile się da, ile się weźmie, ile się przy nadmiernej konkurencyjności popytu zedrze.

Zdaje się, że jeżeli spekulacya na letnich mieszkaniach pójdzie dalej w swojem *crescendo*, to niezadługo, jak na przykład poziomki, raki i szparagi staną się one przybytkiem tylko bogaczów—albo nieopatrznych rozrzutników. Na szczęście będziemy mieli wówczas ukończoną kanalizacyą, która miasto zamieni na potężny zbiornik świeżego powietrza... Tak wróżą optymiści.

Że się w Warszawie myśli nietylko o przyjemnościach i rozrywkach, najlepszym tego dowodem jest obecne przekształcanie się „Bazaru wyrobów kobiecych" z instytucyi filantropijnej na interes spółkowy. Grono osób, które dotychczas były tylko dostarczycielkami wyrobów dla Bazaru, odtąd stanie się jego właścicielkami, a tym sposobem filantropia pójdzie w kąt, a pozostanie interes.

Jest to zamiana pod każdym względem korzystna. Nie zapominajmy ani na chwilę, że dobroczynność to *malum necessarium*, ostateczny ratunek w nieszczęściu, który wtedy dopiero przychodzi, gdy już innego znaleźć niepodobna. Tymczasem w sprawie zbytu dla pracy kobiecej taki ratunek nie był i nie jest wcale koniecznością. Wymyśliły go zacne główki i serca filantropek nie na to, aby się stał *kamforą* dla konających, lecz żeby był żywym, widocznym dowodem, iż rzecz taka powieść się i stać się dobrym interesem może. Te, co bazar na swój rachunek biorą, przekonały się o tem, znaczenie dowodu zrozumiały i... niechaj im to na dobre wyjdzie, niech inne znowu nauczy i zachęci!

Bazar dotąd rozwijał się pomyślnie, a w pewnych działach wytwórczości kobiecej zyskał trwałą klijentelę (bielizna, pończosznictwo, wyroby z włóczki)—w tym przeto kierunku jest naprawdę interesem korzystnym. Sądzę że interesowanie się *osobiste* jego właścicielek wyjdzie mu jeszcze na lepsze, że zdobytą dotąd klijentelę w różnych kierunkach rozszerzy i że stanie się urzeczywistnieniem zasady najprawdziwszej, głoszącej że ze wszelkiej jedności wynika siła.

Od praktycznego Bazaru skręcamy ku teatrowi, który dzisiaj bardziej niż kiedykolwiek stanowi instytucyą rozrywkową. Dał on „premierę" (rzecz nieczęsta) i to oryginalną, którą nam tu z aplauzem powitać się godzi.

Nowość tę stanowił „Dwór we Władkowicach" Z. Przybylskiego. Widywano go dawniej na scenie któregoś z teatrów ogródkowych, ale dla każdej sztuki oryginalnej dopiero stała scena warszawska jest właściwą areną walki o byt. Na scenie tej bowiem grywa się inaczej, bez pośpiechu, bez gorączki spekulacyjnej, a zato wykończenie i subtelnie.

Sztuka Przybylskiego posiada też same zalety, co jej poprzedniczki, i też same wady. Jest *par excellence* obrazem i jako taki stoi na wysokości zadania.

Kilka postaci wybornych, kilka sytuacyj interesujących, koloryt prawdziwy, choć powierzchowny, znajomość społeczeństwa niezaprzeczona i traktowanie go z widocznym bardzo a miłosnym optymizmem, który ujawnia się tu w akompaniamencie ciepła idącego wprost z serca. To zalety! A wady? „Dwór we Władkowicach" nie jest komedyą, ani dramatem, ani farsą,—jest obrazem. Ponieważ nie jest niemi dlatego, że autor woli pisywać obrazy, dzięki swoim aspiracyom przyrodzonym, przeto mu owej wady za wadę poczytywać nie można. Co ma robić Przybylski, że jest takim, jakim go Pan Bóg stworzył, a innym być nie chce i nie może? Cenimy w nim jak należy tę harmonią z przeznaczeniem, na której on sam wychodzi doskonale, a z nim literatura i scena...

Maryusz.

Z chwili bieżącej.

* **Projekt budowy bulwaru** nadwiślańskiego zaczyna nareszcie przechodzić w stadyum prawdopodobieństwa. Pan Devars zmodyfikował wymagania kapitalistów francuzkich, których jest przedstawicielem, a tak zmieniona propozycya miała znaleźć dobre przyjęcie ze strony zarządu miejskiego. Warunki nowego projektu są w streszczeniu takie: Kapitaliści francuzcy obowiązują się wybudować swoim kosztem bulwary, urządzić bruki, kanalizacyą, wodociągi, oświetlenie, a za to żądają oddania sobie na własność placów pod domy i uwolnienia tych domów od wszelkich ciężarów na lat dwadzieścia. Po latach dwudziestu, wszystko, z wyjątkiem tych placów i domów, ma przejść na własność miasta. Przedsiębiorcy podejmują się ukończyć budowę bulwaru wprzeciągu lat cztetech.

Jest to pewnik nieulegający już żadnej wątpliwości, że dźwignięcie bulwaru nad Wisłą przyniesie wielki pożytek i ozdobę Warszawie, jeśli więc już inaczej być nie może, życzyćby wypadało, żeby projekt pana Devarsa okazał się ostatecznie możebnym do przyjęcia; o ileżby to jednak było ładniej i pożyteczniej, gdybyśmy do tego pożądanego bulwaru własnemi przyszli siłami! Rozumiemy, że zarząd miejski, zaangażowany w kosztowną budowę kanałów i wodociągów, nie może obecnie wziąć na swoje barki przedsięwzięcia, które także garść milionów pochłonie; ale dlaczego miejsca kapitalistów francuzkich nie zajmą kapitaliści nasi? Żeby się u nas nie miały znaleźć kapitały na entrepryzę z tak świetną jak ta przyszłością, w to chyba nikt nie wierzy. Nie brak pieniędzy, ale apatya i niepojęte lenistwo są przyczyną, że wszystkie najkorzystniejsze przedsiębiorstwa oddajemy w ręce cudzoziemskie i grosz, któryby powinien kraj bogacić, tkamy gwałtem w kieszeń cudzoziemską. Może nie zdobylibyśmy się na tyle energii, której brak jest chroniczną naszą chorobą, żeby bulwar w czterech latach ukończyć, ale mniejsza o to! Niechby budowa potrwała dwa razy dłużej, niechby lat dziesięć, byleby cała z niej korzyść w kraju pozostała. Gdybyśmy byli tramwajów i innych tego rodzaju przedsięwzięć nie byli wspaniałomyślnie porzucili na pastwę obcym kapitalistom, zyski z nich byłyby o tyle pomnożyły majątek krajowy, że przy ich pomocy, bądźcobądź, łatwiejby nam przyszło dziś wziąć na siebie budowę bulwarów... Szkoda, dalibóg szkoda! atak będzie zawsze, dopóki naszego dotychczasowego, niewytrzymującego krytyki zdrowego rozsądku nie chcemy powiedzieć idyotycznego systemu zachowania się wobec przedsięwzięć krajowych nie porzucimy.

* **Nowa szkoła ogrodnicza.** Doktór Karol Zawada w Częstochowie uzyskał pozwolenie odnośnej władzy na otwarcie szkoły ogrodniczej, która otrzymywać będzie nawet subwencyą w kwocie 1,500 rs. rocznie. Przedmiotami wykładowemi, oprócz właściwego ogrodnictwa, będą: religia, język russki, matematyka, rysunki, botanika, zoologia, mineralogia, fizyka, chemia, miernictwo, niwelacya, pszczelnictwo i jedwabnictwo, a poza godzinami obowiązkowemi łacina, oraz języki niemiecki, francuzki i angielski.

Uczniowie są pensyonarzami, utrzymanie miesięczne pensyonarza kosztuje bez prania 12 rs. Wpisy rozpoczną się od 13 Września.

Każdy zakład wychowawczy w tym kierunku, który krajowi przysporzyć może tak potrzebnych i pożytecznych pracowników, witamy z radością i życzliwością szczerą; tem bardziej też szkołę częstochowską, która, jak z programu wnosić można, będzie wyższym w swoim rodzaju zakładem.

U nas sadownictwo i ogrodownictwo stały wcale wysoko, ale zaniedbaliśmy się od pewnego czasu, od czasu kiedy Strumiłło swe „Ogrody" pisał, i dziś jest wiele, bardzo wiele u nas na tem polu do zrobienia; każdy więc przybytek zdolnych ogrodników jest arcy pożądany.

Zakład częstochowski naturalnie będzie kształcił tylko *ogrodników*; gdyby tak kto pomyślał o podobnej szkole dla *ogrodniczek*!... Nie każdy ziemianin jest wstanie trzymać uzdolnionego dla swego ogrodu kierownika; cóżby to za skarb był dla takiego, gdyby w ślicznej i najukochańszej żonce zarazem fachowego ogrodnika pozyskał!...

* **Strzelanie do gołębi.** Krwawą tę zabawkę chciał tego roku zaprowadzić jakiś Anglik, jako nowość, podczas wyścigów we Lwowie, ale opinia publiczna oburzyła się na tę barbarzyńską rozrywkę, a magistrat lwowski, który pole pod wyścigi wydzierżawia, poprostu zabronił tej niemoralnej rzezi niewinnych ptaków na swojem terytoryum. Powinszować Lwowowi...

* **Niczem Australia!** Wiadomo, że w Australii, i jedynie w Australii, odkryto zwierzę pośrednie między ssącem a ptakiem, i nazwano je *dziobakiem*, od dzioba, którym łeb jego szerścią porosły jest zakończony. Oryginalniejszą jednak i rzadszą od takiego ptako-zwierza jest niezawodnie ptako-ryba, którą świeżo złowiono, i to gdzie?... U nas, pod Pruszkowem, panie dobrodzieju, pod Pruszkowem! Jest to karaś, którego głowa ma zakończenie istotnie wielce do dzioba zbliżone. Okaz ten znajdował się, a może jeszcze i znajduje do obejrzenia w redakcyi „Kuryera warszawskiego."

Przy tej sposobności nie możemy nie zanotować faktu arcy-pocieszającego: zaczynamy chorować na postęp, a to w każdym razie choroba zaszczytna. Oto Pruszków zaczyna pozować na Australią a „Kuryer warszawski" na „Figaro" paryzkiego!... *All right!*

* **Bodaj takich jaknajwięcej!** Na wycieczkę po kraju wybierają się wspólnie następujący artyści malarze: Cichocki, Maszyński, Masłowski, Owidzki, Podkowiński, Szpądrowski, Wolski i Wyczółkowski...

Niech czytelnicy sami w duszy swojej wyśpiewają nadzieje, jakie w takiej wyprawie dla sztuki i znajomości kraju pokładać można!...

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Stałej prenumeratorce M. M. Ubranie czarne jako wizytowe i wieczorowe dla dziewiętnastoletniej panienki, stale używane, jest zupełnie niewłaściwe. Tak młoda panienka na wieczory może nosić suknie białe, crème, różowe, niebieskie i t. p. ale nie czarne. Na wizyty w lecie ma do wyboru stosy satynek, zefirów, batystów, bengaliny w najrozmaitszych kolorach, między któremi wybór zależy od koloru włosów i cery. Praktyczne spacerowe ubranie jest koloru piaskowego, bo przy nim zastosować można różne kolory na przybranie; ładne są odcienia niebieskawo-popielate i zielonawe. Pora roku decyduje także, bo w lecie młode osoby ubierają się jasno, w jesieni i zimie właściwe są cie·uniejsze kolory. W sprawozdaniach o ubiorach podajemy zawsze wzmiankę o materyałach i kolorach.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

FABRYKA KUFRÓW, WALIZ I TOREB T. L. BREYMEYER WARSZAWA KRÓLEWSKA Nr 1 róg KRAK.-PRZEDM. POLECA WSZELKIE PRZYBORY DO PODRÓŻY, KONNEJ JAZDY I POLOWANIA

WÓZKI, WELOCYPEDY, PANTOFLE I WYROBY KOSZYKARSKIE. 45—1—12

CENY NIZKIE.

Oliwa Nicejska.
Ocet winny.
Essencya Octowa.
Szafran i Wanilla.
Perfumy.
Woda Kolońska.
Mydło krajowe i zagraniczne.
Gąbki i Wyroby gumowe.
Środki opatrunkowe.

W NAJLEPSZYM GATUNKU.

Skład Mat. Aptecznych

Trzciński, Urbanowicz i Różycki,

Krakow.-Przed. 17

wprost kościoła po-Karmelickiego, w WARSZAWIE.

HOTEL BRÜHLA

Niecała numer 11, vis a vis bramy Ogrodu Saskiego.

K. Sapiecha.

Firma egzystuje od roku **1875.**

O 15 procent TANIEJ — CEN PRAKTYKOWANYCH.

Na bieżący sezon przyspos obiłem wielki wybór Obić, imitujących: Materyę jedwabną, Gobeliny, Adamaszki, Kretony, Dywany Perskie i t. p., które na żądanie podług pokryć meblowych wykonywają się. Próby obić z cennikiem wysyłają się bezpłatnie.

Wielki wybór obić, począwszy od 10 k. za ruljon.

78—3—8

PRACOWNIA I MAGAZYN

OBUWIA DAMSKIEGO

M. WROŃSKI, 80—2—6

ulica Chłodna Nr 28.

Ceny nizkie. Robota trwała.

EAU VÉGÉTALE

do farbowania włosów, pod względem swych zalet nie mająca równej sobie.

Bez zawodu nadaje siwiejącym włosom PIERWOTNY KOLOR, skutek już po pierwszym użyciu. Nie brudzi skóry i nie plami bielizny. POBUDZA POROST WŁOSÓW i niszczy łupież. Pudełka blado niebieskie z podpisem wynalazcy i takie tylko są prawdziwe. Cena pudełka na miejscu rs. 2 kop. 50. Z przesyłką w Królestwie rs. 3, w Cesarstwie rs. 3 kop. 50.

Skład główny w zakładzie fryzyerskim

T. MARKOWSKI, Bielańska Nr 2,

w Warszawie, 53—5—

u fryzyerów w m. Wilnie u Gordona, Lublinie u Rozdoby i Grafczyńskiego, w Piotrkowie u Różyckiego, w Łodzi u Smosarskiego.

PAROWA FARBIARNIA

wełny i przędzy wełnianej i bawełnianej

E. GRABOWIECKIEGO,

róg ulicy Przedokopowej i Nowo-Nowogrodzkiej Nr 2,

Za rogatką Jerozolimską, w domu własnym.

Przyjmuje w zakres farbowania przędzę wełnianą i bawełnianą, trykoty, pończochy i t. p.; farbowanie odbywa się na sposób farbiarń zagranicznych, angielskich i francuzkich.

Roboty wykonywają się z całą sumiennością i gwarancyą trwałości koloru, po jak najprzystępniejszych cenach. Dotąd farbowane towary w wielu innych farbiarniach, po pewnym przeciągu czasu ulegają wypłowieniu, praktyka zaś moja w jednych z większych farbiarń dała mi możność ulepszyć sposób farbowania do tego stopnia, że kolor pozostaje bez zmiany stanu pierwotnego. 87—1—1

W Wilnie

MAGAZYN MÓD

MARYI L.

dawniej ***J. Bogdańskiej,***

ulica Ostrobramska.

Poleca damskie kapelusze na sezon następujący CENY TANIE, oraz damską i dziecinną bieliznę po cenach fabrycznych. 62—4—1

LEONTINE

Egzystująca od lat 8 pod firmą

LEONTINE

Szkoła Kroju i Szycia

systemem

WORTH'A

jedynie za pomocą centimetru.

ERYWAŃSKA Nr 14.

Przyjmuje na naukę z zupełnem utrzymaniem w zakładzie LEONTINE. 86—1—6

Po ukończeniu kursu wydawane są świadectwa potwierdzone przez władzę.

Doskonały krój na sposób francuzki, bez pasowania.

LEONTINE

Gruntowna nauka kroju sukien.

Największy wybór

biżuteryi złotej, brylantowej, jak również w kolorowych kamieniach, brylanty nieoprawne, pięknej wody. Gustowne Pierścionki, Branzolety, Brosze, Boutons, Łańcuchy, Breloki, Spinki, Szpilki ect.

Poleca Magazyn

G. RADKE i A. ŻELISŁAWSKI,

1. Miodowa 1.

82—2—4

UWAGA. Biżuterya srebrna przez sezon letni niżej ceny kosztu.

Bracka 20. Po rs. 50!!! Piękne Serwisy Stołowe.

Na 12 osób z najlepszej porcelany Krajowej, zdobne w piękne kwiaty ręcznie malowane, na żądanie z monogramami lub z herbami, składające się z najstępujących przedmiotów: **36 talerzy płaskich, 12 głębokich, 12 deserowych, 12 kompotowych, 12 par filiżanek do herbaty, 12 par do kawy czarnej, 1 waza, 4 półmiski owalne, 12 okrągłe, 1 do śledzi, 4 salaterki, 2 sosierki, 1 kabaret do konfitur lub kosz do owoców, 2 musztardniczki, 2 solniczki, 1 maselniczka lub imbryk. Razem 116 sztuk. Serwisy stołowe** w dobrym gatunku, w prześliczne desenie lub w kwiaty malowane. składające się **ze 114 sztuk po rs. 32;** za dopłatą rs. 10 do serwisów tych dodaje się 86 sztuk szkła kryształowego. **Serwisy do śniadania z 30** sztuk złożone, w kwiaty malowane **po rs. 15. Serwisy do kawy lub herbaty** na 12 osób **z 16 sztuk po rs. 6. Garnitury na umywalnie** kolorowane od rs. 3 kop 60. **Wazony do kwiatów doniczkowych** (Cachepôt), b. ładne po rs. 3 za parę. **Wazony do bukietów** w wielkim wyborze, para od kop. 50 **Garnitury na tualetę. Serwisy do likieru. Kosze do ciast,** oraz wszelką porcelanę malowaną, po cenach najniższych sprzedaje

Główny Skład i Malarnia Porcelany

RYSZARDA FIJAŁKOWSKIEGO,

w Warszawie, ul. Bracka Nr 20, drugi dom za Chmielną, **w lokalu prywatnym.**

WOJNA — ZNANA — WOJNA

FABRYKA BIELIZNY

POLECA GOTOWĄ BIELIZNĘ MĘZKĄ DAMSKĄ DZIECINNĄ I POŚCIELNĄ W WIELKIM WYBORZE

OBSTALUNKI WYKONYWANE SĄ PRĘDKO I TANIO

WPROST HOT. POL. DŁUGA 42.

WPROST HOT. POLS. DŁUGA 42.

Filja Nowy-Świat 69.

FARBIARNIA PAROWA, PRALNIA CHEMICZNA I ZAKŁAD DEZYNFEKCYJNY (Kamera)

Ch. GEBER,

(Grochów, Telefon Nr 164.) 3914—16

Farbuje i czyści wszelką **garderobę męzką i damską.** Farbuje na sposób francuzki całkowite sztuki nowych materyi przędzę jedwabną dla panów fabrykantów i kupców, oraz drukuje desenie nowym systemem na wszelkich materyałach, na sukniach pranych i farbowanych.

Magazyny w Warszawie: Niecała № 9 (telefonu № 328), Marszałkowska № 116, Nowy-Świat № 49, Leszno № 4, Dzika № 9 i Praga Brukowa № 32.

Pralnia NATALII

28. Nowy-Świat 28. 77 2—12

Po powrocie właścicielki z praktyki w Berlinie, przyjmuje do prania sposobem czystogospodarczym nie niszczącym bielizny.

Dnia 1 Lipca r. b. otwartą zostanie szkoła haftu białego, kolorowego, złotem i srebrem oraz kroju. Ulica Pańska Nr 18 miesz. 21 (dom Fiorentinich) **Pracownia MARIE.**

Zapis uczennic od 10 rano. 65 4—12

GLAZURA

NA OBUWIE DAMSKIE I DZIECINNE

z fabryki **Al. Karwackiego,** jedyny produkt nie psujący skóry i nie smolący bielizny.

A. Nowakowski,

3. BIELAŃSKA 3. 84—2—6

Są do nabycia w księgarniach dzieła naukowe nakładem pedagoga **Plato v. Reussnera:**

Najlepsza Metoda

do nauczenia się **Bez nauczyciela** czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w **3-ch miesiącach,** po angielsku w **24 lekcyach.** Cena Metody niemieckiej kurs niższy kop. 60, w oprawie 75 kop., kurs wyższy rs. 1 kop. 60. Komplet, t. j. oba kursa razem, **tylko 2 rs.** Metoda angielska z wymową, kurs niższy k. 75. **Najlepszy elementarz polsko-niemiecki** z wymową, z 14 wzorkami pisma i 200 rycinami kop 35, 30, i 10. **Najnowszy elementarz polski** z wzorkami pisma, rysunków i rycinami (obrazkami) razem **340 figur,** tudzież ze wskazówkami pedagogicznemi kop. 25, 20, 15, 10 i kop 4. Powiastki **polsko niemieckie** 20 kop. Powieść **Ali-Baba i 40 zbójców** 15 kop. Powieść **Myśliwi Giemz** 10 kop

Na przesyłkę pocztową dopłaca się do każdego rubla po kop. 20.

Skład główny u autora, (Pl. v. Reusnera przy ul. Marszałkowskiej Nr. 142, w Warszawie

---

WAŻNE DLA PRACOWNI

dziecinnych ubrań trykotowych!

Do składu D. Herszberga. Franciszkańska 36, nadeszły z zagranicy w wielkim wyborze, artystycznym wykończone **kotwice, korony i gwiazdki,** zupełnie **imitujące hafty,** które się poleca po cenach b. przystępnych. 85—2—8

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Іюня 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 27.

N. 1 i 3. Ubranie wizytowe z kaftanikiem bez rękawów.

Rycina 1 przedstawia suknię odpowiednią na zebranie wieczorne a z dodaniem kaftanika bez rękawów stanowiącą ubranie spacerowe jak na r. 3. Podszewkowa suknia formą princesse, z tyłu zapinana, była z materyi jedwabnej lila, zwierzchnia zaś z gazy piaskowej *noppé* składała się ze stanika i spódnicy. Przody i boczki podszewkowe krają się w jednym ciągu, plecy krótkie dopełnia prosty bryt tylny, z rozporkiem przeciętym w górze. Wierzch przodów przymarszczony pod szyją i u dołu i ozdobiony pasami haftu maszynowego, naszytemi wzdłuż trzy razy w odstępach 5 c.; pasek z takiegoż haftu zapięty ozdobną klamrą. Spódnica gazowa ma u dołu 14 c. szeroką listwę jedwabną, przyszytą o ile można niewidocznie; górny brzeg z przodu lekko naddany, z tyłu zmarszczony przyszywa się na sukni princesse. Przyozdobienie stanowią naszyte podług r. 1 kawałki haftu po 25 c. długie. Kaftanik z frakową baskiną uszyty z materyi w paski złoto-żółte i lila, krajanej w ten sposób, aby paski schodziły się w ząb do środka pleców i przodów; podszewka z gładkiej materyi lila. Pod kołnierz wykładany z ranwersami daje się sztywny muślin i podszycie z materyi w paski.

N. 2 i 16. Suknia z bluzkowym stanikiem.

Staniki bluzkowe dla młodych osób ciągle bardzo są używane, zwykle szyją się na gładko do figury dopasowanej podszewce. Rycina 2 przedstawia suknię z białej organdyny w niebieski deseń, przybraną wstążką repsową niebieską 9 c. szeroką; r. 16 przedstawia plecy sukni z białego batystu przybranej nietylko przy staniku ale i u dołu kolorową wstążką i zakładkami Przody i plecy bluzki zapiętej niewidocznie są przemarszczone [redacted]

wielkości na r. 6. Tak w pierwszych jak w drugiej robota wykonywa się wszerz, rzędami tam i napowrót. Dokładność r. 6 dozwala z łatwością obliczyć oczka i słupki, nie dajemy więc szczegółowego wyliczania każdego rzędu, dodamy tylko, że, robiąc ząbki, trzeba na końcach rzędów przy dolnym brzegu dodawać po 5 o. pow., w które z powrotem zajmuje się 5 sł. (zamiast pierwszego sł. 3 o. pow.).

N. 8 i 14. Album ozdobione haftem.

Może służyć do fotografii, do szkiców rysowanych w podróży, lub jako zbiornik kwiatów zasuszonych. Wierzch i spód liczy po 17 1/2 c. szerokości a 22 długości, grzbiet zaś jest 7 c. szeroki, pokryty podobnie jak spodnia połowa aksamitem wiśniowym. Zwierzchnia połowa, ozdobiona haftem, jest z materyi jedwabnej bladego lub vieil or koloru np. faille, mora, atłas a nawet adamaszek w delikatny deseń nie psujący efektu haftu; obwódka wokoło tła dana z materyi wiśniowej. Rycina 14 przedstawia w naturalnej wielkości haft wykonany filozelą lub miękim jedwabiem. Gałązki liści odrobione ściegiem płaskim wcale nie podkładanym, kolorem oliwkowym i zielonym, łodyżki ściegiem sznureczkowym, obwodzone czarnym cieniutkim jedwabiem. Kwiaty kaprifoljum haftowane różowym jedwabiem w cieniach o ile można naśladujących barwę naturalną; kontury i pręciki wyszyte sznureczkiem jedwabnym białym i żół[redacted]ym; środeczki kwiatów są ponsowe, czubki liści kwia[redacted]owych są w części chamois i białe. Materyę użytą na [redacted]ło trzeba podłożyć spranym perkalem, płótnem lub gru[redacted]ym muślinem.

N. 9. Ząbki szydełkowe.

Wykonane z metalowej mignardise i metalowej nitki, [redacted]akie obecnie stanowią najświeższą nowość, rozpowszechniającą się do przybrania sukien, okryć, kapeluszy; małe kapotki lub toczki całe można odrobić z takich plecionek i nici. Na r. 9 przedstawiamy ząbeczki z jedwabiu popielatego i srebra. Plecioneczka metalowa z pikotami obrabia się jedwabiem w górze dając naprzemian 1 o. śc. i 1 o. pow.; z drugiej strony robi się w 1 rzędzie 1 o. pow. * zarzucić nitkę na szydełko, zająć trzy pentelki w trzy kolejne pikoty, zarzucając między każdą nitkę na szydełko, wszystko to razem przewlec jedną pentelką i przerobić 1 o. (podług strzałki na ryc. 9), 3 o. pow. i powtarzać od gwiazdki. W drugim rzędzie nitką srebrną obrobić czterema o. śc. rozdzielonemi 3 o. pow. każden ząbek. Wzory ząbków podawane poprzednio do roboty z bawełny dadzą się doskonale zastosować do nitek metalowych.

N. 10—11. Wzór pasów na serwety.

Dla osób wprawnych i biegłych w robocie szydełkowej r. 10 daje w zmniejszeniu wzór pasów matowych i roboty szydełkowej co prawda skomplikowanej ale b. efektownej. Tło układają pasy 4 c. szerokie taśmy kanwowej, wyszytej grubą krętą bawełną ściegiem przeszywanym, krzyżykowym lub gobelinowym i pasy szydełkowe w rzadki deseń, złożony z dwóch krzyżujących się z sobą pletni szydełkowych. Każda pletnia zaczyna się łańcuszkiem i robi tam i napowrót trzy rzędy o. śc. zajmowanych za tylną nitkę o. W zagięciach i zagłębieniach trzeba robić po trzy o. w jedno lub gubić opuszczając po 2 o. łańcuszka, jak to widzimy na r. 11, przedstawiającej narożnik w naturalnej wielkości; na zkrzyżowaniach trzeba pletnie zeszyć z sobą niewidocznie. Skończywszy pasy szydełkowe łączy je się z taśmą kanwową rzędem łańcuszka i o. śc. zajmowanych raz za taśmę raz za pletnię. Tło środkowe otacza robota szydełkowa, zakończona brzeżkiem z pikotami.



[redacted] kaftani[redacted] ryc. 3. N. 2. Ubranie wizytowe z bluzkowym stanikiem. Patrz ryc. 16. N. 3. Ubranie spacerowe z kaftanikiem bez rękawów.

N. 12. Krzesło z wysoką poręczą. Wyszycie krzyżowe.

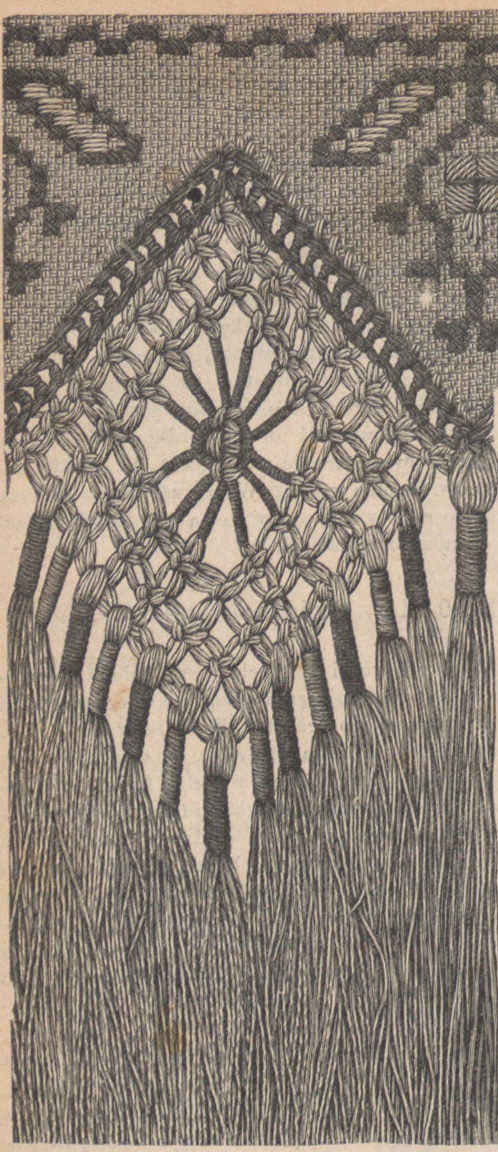
Kolorowe wyszycie na kanwie, usunięte na dalszy plan przez różne nowe rodzaje robót, znowu powołane zostało w użycie. Oprócz poduszek i dywanów zastosowują go do pokryć na meble, dobierając na ten cel starodawne desenie, jak to przedstawia model r. 12 naśladujący wzór z końca XVII stulecia. Bardzo wysoka poręcz i siedzenie pokryte jednakowem wyszyciem na kanwie zwykłym ściegiem krzyżykowem. Poręcz wysłana na 5 c. liczy 68 c. wysokości a 43 szerokości, siedzenie jest z przodu 54, przy poręczy 44 c. szerokie, 50 długie, wypukłe na 12 c. Boki pokryte pluszem, brzegi otacza sznur gruby wełniany; u dołu dana szeroka frendzla.

N. 13 i 17. Okrycie z długim kołnierzem i kapturkiem (cape).

Odrobione było z materyału na dwie strony zwierzchu niebieskawo popielatego *cotelé*, od spodu piaskowego włochatego. Dogodna forma składa się z dwóch części pelerynowych, lekko wciętych na szwie tylnym, a wokoło szyi ujętych w małe zaszewki odpowiednio do figury. Brzegi przednie odwinięte szeroko na wierzch, stanowią jakby przedłużenie kołnierza, przyciśniętego kapturkiem przeplecionym sznurem jedwabnym z grelotkami. Kapelusz czarny słomkowy przybrany wstążką.

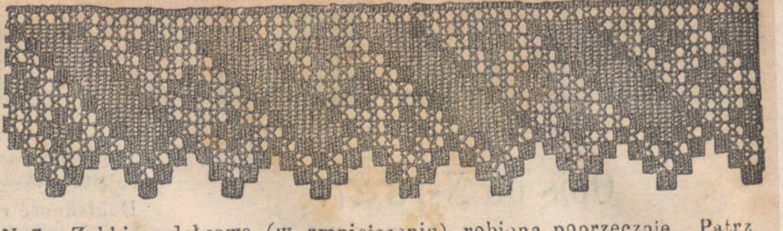
N. 18—19. Okrycie z ażurowo deseniowemi rękawami.

Oryginalną nowość w okryciu z popielatego sukna



haftowana w końcach 10 w środku 17 c. szeroka, 89 c. długa, z brzegów poprzecznych zwężona przez założenie fałdy, wzdłuż przymarszczona a nad czołem ułożona w potrójną kontrafałdę. Na przyszyciu dana druga zachodząca na nią falbanka, 10 c. szeroka 77 długa, ułożona w kontrafałdki 3 c. szerokie z nagłówkiem. Karczek tylny zmarszczony z falbanki 5 c. szerokiej, 71 długiej. Kokarda i końce do wiązania pod brodą z wstążki 5 c. szerokiej.

N. 4. Szlak w zęby zakończony frendzlą, do serwet i. t. p.



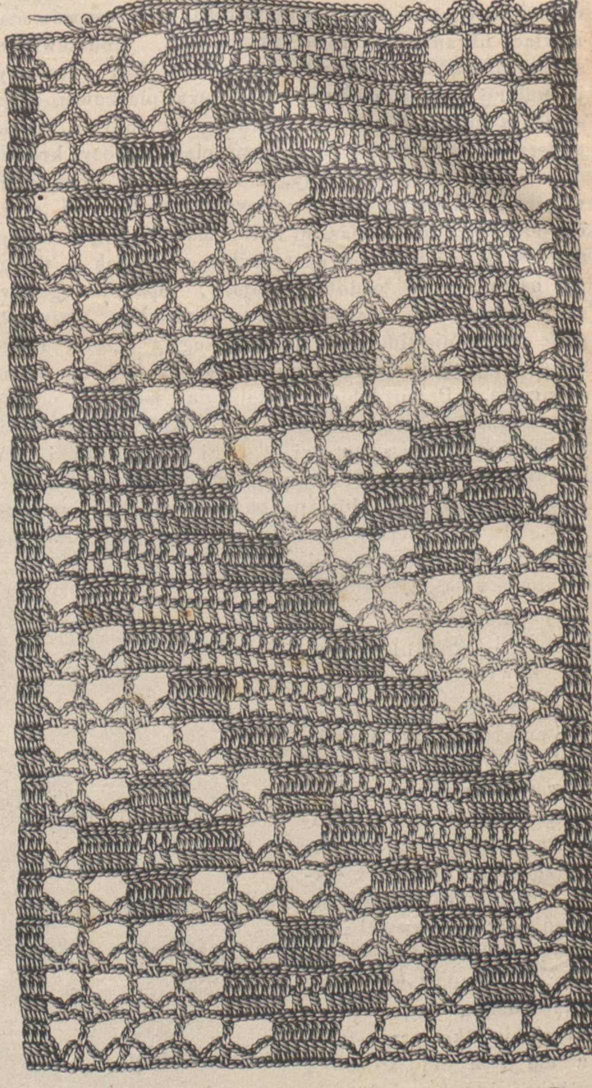
N. 7. Ząbki szydełkowe (w zmniejszeniu) robione poprzecznie. Patrz ryc. 6.

N. 22. Kapelusz helgolandka z haftowanemi falbankami.

Tem się różni od opisanego poprzednio, że ma denko gładkie, przysłonięte dwoma haftowanemi falbankami 15 i 10 c. szerokiemi po 63 c. długiemi, z boków główki przyszytemi gładko a na środku ułożonemi w kontrafałdę potrójną. Rondko przemarszczone w nagłówek z falbanki 9—14 c. szerokiej, 90 c. długiej; na karczek trzeba falbanki 12 c. szerokiej, 73 długiej. Kokarda z repsowej wstążki 4 c. szerokiej spada z pod falbanki na denko.

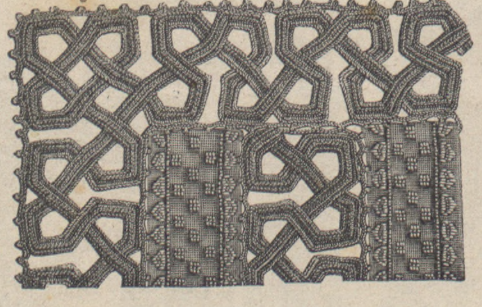


N. 8. Album ozdobione haftem, odpowiednie na szkice rysunkowe lub jako zbiornik zasuszonych kwiatów. Patrz ryc. 14.



N. 6. Wszywka szydełkowa robiona poprzecznie. Patrz ryc. 7.

stanowią ażurowe deseniowe pasy wycinane maszynowo, po 12 c. szerokie, powtórzone trzy razy wzdłuż rękawów w odstępach 13 c. Jak to widać na r. 19 przedstawiającej okrycie z lewej strony, rękawy przyszyte są gładko wzdłuż przodów i pleców a na ramionach ściśle zmarszczone. Wykrój pachy zastępuje elastyka 21 c. długa, obszyta zmarszczoną materyą, przyszyta w ten sposób aby przy wkładaniu okrycia wypadała pod rękami, na wcięciu stanu przyszyta wstążka wiązana z przodu. Wykrój szyi ujęty w kołnierzyk 3 c. wysoki, przysłonięty riuszą wyciętą maszynowo.



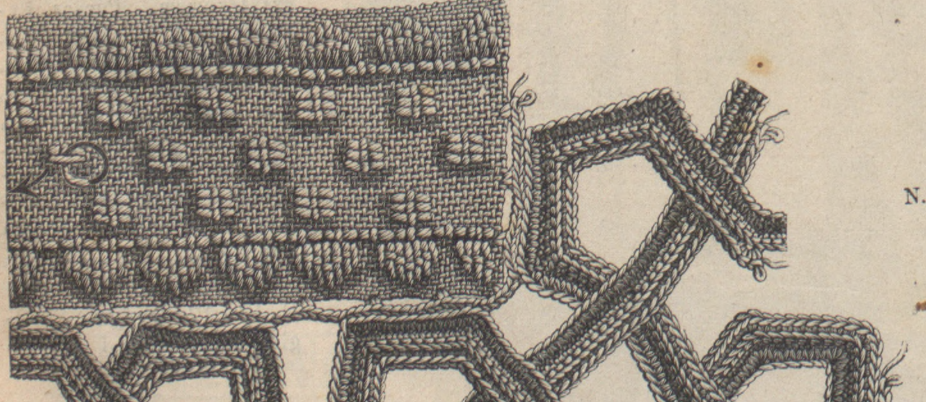
N. 10. Tło w pasy matowe wyszywane i szydełkowe ażurowe. Patrz ryc. 11.

N. 20—21. Kapelusz ogrodowy (helgolandka) dla dziewczynki.

Składa się na niego biały batyst, materyał haftowany i falbanki haftowane; podstawę kapelusza stanowi owalne denko, wycięte ze sztywnego płótna i batystu, zfałdowane wokoło brzegów i wszyte w szeroki podwójny pasek, w który wsuwa się trzy druty, od 39—41 c. długie; tylny brzeg u dołu obejmuje się listewką. Następnie denko gładkie batystowe przykrywa haft ażurowy (Madera), a pasek falbana



N. 5. Szpilki ozdobne do prz głowy.



N. 11. Część pasa matowego i narożnik szlaku szydełkowego do ryc. 10; wielkość naturalna.



N. 9. Ząbki robotą szydełkową z plecionki i nici metalicznych.